

## Klasyka czytana po pół wieku

MARCIN KULA<sup>1</sup>

ORCID: 0000-0002-2539-6895

Akademia Teatralna im. Aleksandra Zelwerowicza w Warszawie

Teraz w nauce modne jest to, co niedawne. Tempo życia i zmian sprawia, że często odwołujemy się prawie tylko do najnowszych pozycji. Administracja naukowa wymaga rezultatów szybkich i licznych, trzeba pisać według standardu i cytować dzisiejsze sławy. Ponowne odkrywanie Ameryki nikogo nie hańbi. Sam sięgnąłem jednak wstecz.

W 1985 r. Janine Ponty obroniła na Sorbonie pracę doktorską, która stała się podstawą jej książki o polskich robotnikach we Francji w okresie międzywojennym<sup>2</sup>. W swoim czasie ją czytałem, a potem – nie zajmując się akurat tą emigracją – prawie zapomniałem. Ostatnio ponownie zająłem się nią – zaintrygowany co mi rzuci się w oczy po blisko pół wieku interesowania się różnymi zjawiskami migracyjnymi oraz w perspektywie obserwacji czasów współczesnych. Takie pytania nasuwają się logicznie przy czytaniu książek klasycznych, a ta już do takich należy.

Pomijam bogactwo informacji faktograficznych nagromadzonych w wyniku benedyktyńskiej pracy autorki. Objęła ona poszukiwaniami wiele archiwów i bibliotek – francuskich i polskich, narodowych, dyplomatycznych, wojskowych, departamentalnych, miejskich, przemysłowych. Oczywiście uwzględniła czasopisma różnego typu i rozliczne druki, także masę opracowań. Wszystkie te materiały miały swoje słabości. Nawet znana ze staranności biurokracja francuska nie stworzyła w rozpatrywanym zakresie wyczerpujących, jasnych przeglądów spraw i statystyk. W wielu punktach autorka musiała je uzupełniać wnioskami uprawdopodobnionymi i szacunkami. Wszystko to zebrała i zinterpretowała z wysiłkiem godnym tradycji przeogromnych

<sup>1</sup> Kontakt: [j.m.kula@uw.edu.pl](mailto:j.m.kula@uw.edu.pl)

<sup>2</sup> Janine Ponty, *Polonais méconnus. Histoire des travailleurs immigrés en France dans l'entre-deux-guerres*, préface de Jean-Baptiste Duroselle, Publications de la Sorbonne, Paris 1988.

francuskich *thèses de doctorat d'État*. Jasne, że kolejni historycy zawsze znajdują jakieś nowe materiały źródłowe, pewne archiwa otwierają się, pojawiające się zainteresowanie nowymi zagadnieniami zwraca uwagę na źródła pominięte, jakieś dane bywają korygowane... ale jasne też, że każdy badacz zainteresowany historią Polaków we Francji będzie musiał skorzystać z ustaleń prof. Ponty<sup>3</sup>.

Autorka, zgodnie z tytułem, przyjęła cezurę II wojny światowej. Uczyniła tak nie tylko dlatego, że każdą pracę trzeba zakończyć w jakimś punkcie – ale, podejrzewam, także dlatego, iż nie widziała wielkiego związku pomiędzy społecznością powstałą z robotników przybyłych w okresie międzywojennym, a polską imigracją wojenną i powojenną. Jedni i drudzy reprezentowali najpewniej inne światy. To zdarza się w falach migracyjnych. W trochę mi znanej Brazylii polscy imigranci czasu wojny i przybywający bezpośrednio po 1945 r. osiedlali się w wielkich miastach, często reprezentowali jakieś zawody czy kwalifikacje... i nie mieli nic wspólnego z potomkami dawnej chłopskiej emigracji, osiadłej w stanach południowych. Zdarzały się oczywiście wyjątki. Z czasem ci drudzy nieraz też przepłynęli do metropolii, a sama Kurytyba stała się wielkim miastem. Raz zdarzyło mi się u bogatego Polaka z emigracji wojennej w São Paulo spotkać dziewczynę w oczywisty sposób pochodzącą ze wsi z Południa (wyglądała zresztą jak z płótna Chełmońskiego) – ale była to wynajęta służąca. Służąca, czy nie służąca, też potwierdzała jednak istnienie kontaktów między grupami – wszakże niewielkich.

\*

Ciekawie czyta się tę książkę z punktu widzenia pytań kto był/jest Polakiem i jak się dzieliła ludność na ziemiach uważanych za polskie (zdefiniowanie tego ostatniego nie jest zresztą proste). W niektórych analizach autorka wyodrębnia Ukraińców i Żydów wśród ludzi napływających z Polski już istniejącej jako odrębne państwo – ale to nie zaskakuje. Wszyscy wyodrębniali wówczas te grupy, one same się tak określały. Ciekawsze jest odgrywające pewną rolę w analizie wyodrębnienie „Westfalczyków” (*Westphaliens*). Termin odnosi się do polskich górników, swego czasu emigrantów z Zaboru Pruskiego do Zagłębia Ruhry, którzy po I wojnie światowej trafili do północnej Francji<sup>4</sup>. Do rozróżniania ludzi z dzielnic zaborowych, co notabene nakłada się na też widoczną w książce fundamentalną dla historii Polski sprawę podziału na lepiej rozwinięty zachód i gorzej rozwinięty wschód, jesteśmy przyzwyczajeni. Do dziś

---

<sup>3</sup> Z najnowszych prac, w których tematyka jest kontynuowana, por.: Mirosław Jacek Kucharski, *Organizacje polonijne we Francji w departamentach Nord i Pas-de-Calais. Historia i wpływ na kulturę regionu (XX-XXI w.)*, praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. Wojciecha Olszewskiego, Wydział Nauk Historycznych UMK w Toruniu, 2019.

<sup>4</sup> Por. John J. Kulczycki, *The foreign worker and the German labor movement. Xenophobia and solidarity in the coal fields of the Ruhr. 1871–1914*, Berg, Oxford – Providence, RI 1994; tenże, *The Polish Coal Miners' Union and the German labor Movement in the Ruhr. 1902–1934. National and social solidarity*, Berg, Oxford-Washington 1997. Dziękuję prof. Dorocie Praszatowicz za dodatkowe informacje.

zresztą widać różnice pomiędzy dawnymi zaborami – zarówno w kulturze materialnej, jak na przykład w zachowaniach wyborczych. Nie zaskoczyło mnie stwierdzenie trwania dzielenia ludzi według zaborów w środowisku samych opisanych Polaków. Adam Walaszek przypomina jak to polscy górnicy w USA nawet rozmieszczali się tak, że blisko siebie zamieszkiwali przybysze z tych samych imperiów<sup>5</sup>. Natomiast wyodrębnienie „Westfalczyków”, choć zrozumiałe z punktu widzenia potrzeb francuskiego rynku pracy, było dla mnie nowe i ciekawe, jako zawierające w podtekście przeciwstawienie ich chłopom ze wschodu Polski. Nie dziwi, że „Westfalczyki”, znający świat bardziej zmodernizowany niż ich pobratymcy, mieli istotny wpływ na zachowania wszystkich polskich robotników we Francji, na ich skłonność do organizowania się lub jej brak, także na przyłączanie się do związków zawodowych.

Ciekawa jest też wspomniana w książce kwestia emigracji Żydów-rolników do pracy w rolnictwie francuskim. Istnieje stereotyp Żyda-handlarza bądź karczmarza, w lepszym wypadku bankiera. Do dziś możemy obserwować wieszane w różnych miejscach w Polsce obrazki Żyda z pieniążkiem, które jakoby przynosiły szczęście. Gdy za pierwszym razem zobaczyłem taki obrazek w sklepie, pomyślałem, że to jakiś katolicki święty – ale akurat było inaczej. W 2019 r. w Zakopanem proponowano na straganach figurki Żydów z napisem: „Żeby w domu kasa była / i się nigdy nie skończyła / Żyda w domu musisz mieć / on pieniędzy będzie strzec”<sup>6</sup>. Były też breloczki z napisem „Żyd w sieni, pieniądze w kieszeni”, ze znakiem dolara, napisem „Zakopane”, no i z też przyklejoną monetą groszową. Pomińmy co myślę o takich zabawkach. Ważniejsze, że mało kto wie, iż w Polsce dawniejszej i międzywojennej Żydzi funkcjonowali też jako rolnicy. Sam nie wiedziałem o emigracji Żydów jako rolników do Francji.

\*

Z punktu widzenia historycznej wiedzy o migracjach oraz wiedzy o migracjach współczesnych ciekawe jest prześledzenie przez prof. Ponty ruchu robotników polskich do Francji jako przedsięwzięcia zorganizowanego, a skądinąd nadzorowanego przez oba państwa. Ogromna część dawnych i współczesnych ruchów migracyjnych odbywała się spontanicznie lub była tylko poniekąd organizowana, nieraz zaś organizowana przez przestępców, usiłujących zarobić. Oczywiście, w wielkiej migracji transatlantyckiej końca XIX w. fundamentalne było zapotrzebowanie na ludzi, oficjalnie formułowane czy to przez USA, czy Brazylię. Ci przybysze byli przyjmowani w sposób planowy, w Brazylii kierowani na pożądane tereny, jakąś pomoc im na początku okazywano. Niemniej jednak ich wyjazd z północnego Mazowsza był propagowany przez mętnych agentów linii okrętowych. Oni opowiadali niestworzone rzeczy. Pojawily się legendy, że w Brazylii drogie kamienie leżą na drogach. Natrafiłem kiedyś

<sup>5</sup> Adam Walaszek, *Życie na pograniczu i "życie pomiędzy". Polacy w zagłębiu antracytowym w Luzerne County, Pensylwania, z innymi grupami w tle (1753–1902)*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2011, s. 78.

<sup>6</sup> Za zwrócenie mi uwagi na ten napis dziękuję p. Krzysztofowi Kwiatkowskiemu.

na gigantyczną wpadkę znaczącej grupy ludzi (paruset? paru tysięcy?), którzy na początku okresu międzywojennego popłynęli na Kubę – bowiem agenci przekonywali ich, że z Kuby to już tylko „krok” do Ameryki, a może nawet o tym, że Kuba jest pod władzą USA. O dzisiejszym przepływanie nielegalnych migrantów przez Morze Śródziemne, czy o przekradaniu się przez zapory na granicy Meksyk – USA, nie warto mówić jako o rzeczach znanych. Co natomiast w kontekście tych ostatnich zjawisk rysuje się ciekawie, to jakby większa siła granic w okresie międzywojennym niż dziś i mocniejsze dziś parcie na nie ze strony migrantów. Wprawdzie kiedyś wizja rajy za Oceanem mogła przyciągać chłopów z Mazowsza – ale kontrast bogactwa Europy i Afryki bądź USA i wielu krajów Ameryki Łacińskiej nie rzucał się w oczy tak wielu biednym jak dziś. Środki transportu, choć dziś w wypadku nielegalnych migrantów często barbarzyńskie, były kiedyś mniej efektywne. Nawet jeśli kiedyś też znano sposoby na nielegalne przekroczenie granic, to dziś raczej nie ma obawy, że strażę będą strzelać. W praktyce krajom, broniącym się przed napływem imigrantów, pozostaje budować mury i odmawiać przyjmowania w swoich portach wychodźców błakających się po morzu – w stosowaniu czego nieraz napotykają jednak różne protesty opinii.

Z punktu widzenia szerszej wiedzy o zjawiskach migracyjnych ciekawe jest przedstawienie przez prof. Ponty polityki emigracyjnej Polski oraz imigracyjnej Francji. Także przedstawienie polityki wobec grup emigranckich już zaistniałych. W tym zakresie mająca mocarstwowe ambicje Polska była zdumiewająca. W odniesieniu do skupisk Polaków oraz ich potomków w Ameryce Łacińskiej, a zwłaszcza w Brazylii, Warszawa chciała prowadzić wręcz politykę tworzenia zwartej polskiej grupy. Pojawiały się nawet rojenia o stworzeniu tam polskiej kolonii. W odniesieniu do Francji czegoś takiego oczywiście nie dawało się choćby pomyśleć, ale Warszawa jak najbardziej chciała mieć w tych górnikach na północy kraju swoich ludzi. Oni mieli być Polakami zawsze i wszędzie, a Warszawa chciała ich wiązać z Polską i mieć na nich wpływ. To zagadnienie jest ciekawe porównawczo z punktu widzenia aktualnej dawniej i dziś kwestii polityki różnych państw wobec diaspory – jak choćby polityki gen. de Gaulle’a wobec Québecu, czy dzisiejszego korzystania przez Chiny z emigrantów rozsianych po świecie.

Ciekawa jest obserwacja, że polscy emigranci realnie nie mieli większego kontaktu z Polską, nie jeździli do kraju nawet na urlopy. Pewno byli na to za biedni, a może nie skłaniał ich też do tego akceptowany wzór zachowań (Włosi jeździli do siebie!). O wysyłaniu dzieci do szkół w Polsce jeszcze wtedy, rzecz jasna, nie było mowy. Powrotów emigrantów Warszawa wcale nie pragnęła – zwłaszcza gdy sprawa stała się realna w okresie wielkiego kryzysu. Przecież miejsca dla nich nie było, zwłaszcza w miastach – a nie skierowaliby się na wieś, nawet jeśli z niej wyszli.

Sprawa odwiedzin emigrantów w kraju i ewentualnych powrotów jest jednak ciekawa także z szerszego punktu widzenia. Można stawiać pytania o oczekiwaną i realną rolę powracających w różnych momentach historii i w różnych krajach. Nieraz oczekiwano od nich wiele w wymiarze zawodowym i cywilizacyjnym, zaś w powrocie widziano wręcz korzyść dla kraju. Nieraz jednak ci wracający chwyтали się za głowę

i stawali się czynnikiem rewolucyjnym. Nieprzypadkowo różni despoci ograniczali wyjazdy. Gdy zaś liberalizujący despota Gierek zaczął wypuszczać szerzej Polaków na Zachód i oni zobaczyli świat, to obalili ustrój. Na poważnie: oczywiście nie tylko oni, i nie tylko dlatego; ustrój nie tyle został obalony, ile zawalił się, itd., itd. Pytanie jednak, czy zawsze wracający są czynnikiem modernizującym. Można ich prześladować, jak Stalin jeńców wracających z niemieckiej niewoli (widzieli Zachód, nawet jeśli przez druty!). Można też, bez dramatów, odrzucić pomysły oraz sugestie wracających. Środowisko może okazać się „po prostu” mało receptywne.

Ciekawe jest też świadome posługiwanie się promowaniem migracji jako narzędzia rozwiązania różnych problemów społecznych (narodowościowych, bądź przeludnienia agrarnego). Już pomijając ideę wysyłania Żydów na Madagaskar, wspomnijmy efektowną (sic!) ideę wysyłania Ukraińców ze wschodnich powiatów przedwojennej Polski do Paragwaju. Z książki prof. Ponty dowiedziałem się o innym, równie sensownym (sic!) pomysle osadnictwa rolników polskich w Tunezji.

\*

Z punktu widzenia problematyki każdej grupy emigranckiej ciekawa jest kwestia jej integracji z lokalnym społeczeństwem i asymilacji jego wzorów. Dotyczy to zarówno migrantów czasowych, jak stałych – zwłaszcza że, wbrew pozorom, to rozróżnienie trzeba opatrzyć wieloma zastrzeżeniami. Bardzo często migracje w intencji czasowe przeradzają się w stały pobyt. Polscy emigranci, którzy po wojnie zostali na Zachodzie, liczyli, że wrócą. Ostatni Prezydent RP na Wychodźstwie doczekał wprawdzie upadku komunizmu i rządowym polskim samolotem przyleciał na inaugurację prezydenta Wałęsy – ale ten moment przyszedł dla tych ludzi za późno. Wszyscy, którzy wtedy z nim przylecieli, wrócili tym samym samolotem wieczorem do Londynu. Znajomi Polacy, żyjący w Londynie, powiedzieli mi kiedyś, że w ich środowisku nikt nie potrafi wskazać momentu, kiedy zdecydował się zostać na stałe. Przebywali ciągle czasowo – tylko coraz trudniej było im wrócić. Stopniowo stawali się bardziej zintegrowanymi ze społeczeństwem przyjmującym niż z wyjściowym. Warto jednak pamiętać, że dzisiejsze środki komunikacji i łączności istotnie zmieniają dane wyjściowe kwestii migracji czasowych i definitywnych. Z kolei usuwanie migrantów, którzy się zasiedzieli, przez państwo przyjmujące, nawet gdy jego rząd tego chciałby, było, jest i będzie bardzo trudne poza przypadkami indywidualnymi (zostawmy na boku humanitarny aspekt sprawy).

W książce dobrze widać jak odrębne są kwestie integracji oraz asymilacji wychodźców w nowym kraju. To, że w licznych falach migracyjnych na początku występuje wiele oznak dezintegracji społecznej, jest typowe. Dziś nie pamięta się, jak zdeintegrowanym środowiskiem byli swego czasu Polacy w Chicago. Wszędzie bardziej podatni na dezintegrację byli samotni mężczyźni lokowani w jakichś wspólnych kwaterach niż migranci przybyli z rodzinami, bądź zakładający rodziny na miejscu. Nawet

w migracjach wewnętrznych, czy następujących na skutek zmiany granic, na początku sytuacja bywała trudna (przykładami stan bezpieczeństwa na Ziemiach Zachodnich zaraz po wojnie, nawet jeśli tam różne czynniki się do tego przyczyniały – czy zachowania mieszkańców „hotelu robotniczych” w budującej się Nowej Hucie).

To, że na początku emigranci z jednego kraju na nowym terenie ciążą ku sobie, jest oczywiste. Polityka kraju wyjściowego oraz przyjmującego odgrywa pewną rolę w dalszym biegu rzeczy. Stany Zjednoczone świadomą decyzją nie pozwoliły tworzyć zwartych stref osiedlenia poszczególnych grup etnicznych, choć dzielnice etniczne w miastach powstały. Brazylia dopuściła grupowanie się przybyszów, a potem, u schyłku lat trzydziestych, walczyła z ich specyfiką kulturową – co ani trochę nie przedstawiało się sympatycznie, nawet jeśli, jak była mowa, cele rządów krajów wyjściowych nieraz też nie były sympatyczne. W jednych okresach Stany Zjednoczone prowadziły politykę „tygła” (zmieszać wszystkich w imię ujednoczenia), w innych „wielokulturowości”. Dziś w Polsce, która przynajmniej w wersji deklarowanej publicznie jak ognia wystrzega się imigrantów muzułmańskich i która, przedstawiając się jako kraj katolicki, nie chce nawet śladowej ich obecności wbrew postawie papieża Franciszka, „multikulturalizm” jest przedstawiany przez prawicę jako wariactwo. Niezależnie od tego, jaką politykę ostatecznie przyjmuje się w takiej sprawie, przyjęcie jakiejś jest konieczne. W końcu trzeba decydować nie tylko o tym, czy i kogo się wpuszcza, ale o tym, czy dopuszcza się specyficzny strój dzieci w szkołach publicznych. Także o tym, czy muzułmańskie dzieci we Francji będą zaczynać naukę w szkole od zdania „Nos ancêtres les Gallois” (podobnie jak – według prof. Ponty – Polacy w szkole francuskiej, w miasteczku, gdzie było ich pełno, słyszeli o Wiktorze Hugo, a nie o Mickiewiczu). Co nie najmniej ważne, trzeba przesądzić, czy się buduje meczety (w Saint Denis pod Paryżem, gdzie dziś jest pełno muzułmanów, meczet powinien właściwie stanąć obok bazyliki, gdzie są pogrzebani królowie Francji!).

Prowadzona w tej kwestii polityka może przeszkadzać lub pomagać integracji i asymilacji. Nawiasem mówiąc, nie jest tak, że wielokulturowość spowalnia jeden i drugi proces; nieraz już stwierdzono, że łatwiej integrują się, a nawet asymilują ci, którzy mogą kultywować dwie identyfikacje. Różnorodność, w tym różnorodność kulturowa ma swoje zalety. Realistycznie trudno jest wyzbyć się wyjściowej identyfikacji, bo ktoś ją i tak kiedyś przypomni. Nawet Stany Zjednoczone i Francja, bardzo akcentujące obywatelstwo, a nie etniczność, nie zdały egzaminu podczas II wojny (sprawa obywateli francuskich pochodzenia żydowskiego, sprawa Amerykanów pochodzenia japońskiego). W Polsce dziś znacznie bardziej myśli się w kategoriach etniczności niż obywatelstwa (ciągle mówi się o narodzie polskim, dzieci uczy się praktycznie tylko historii Polaków – i to w kraju tak wieloetnicznym w dziejach!).

Świadomie prowadzona polityka jest więc ważna, niemniej jednak wiele rzeczy zależy nie tylko od niej. Problem zaczyna się od „bagażu wniesionego”. Andrzej Walicki zaobserwował na przykładzie Australii, jak to tamtejsi Włosi, Grecy i Słowianie są znacznie bardziej powiązani różnymi więzami między sobą (klientystycznymi,

mafijnymi, rodzinnymi) niż Anglosasi. Ci pierwsi są znacznie bardziej wspólnotowi niż drudzy, ich więzi są bezpośrednie, całościowe i nieformalne, podczas gdy więzi Anglosasów można raczej charakteryzować jako uspołecznienie, nie zaś jako uwspólnotowienie<sup>7</sup>. Często sądzimy, że ludzie z Azji są bardziej wspólnotowi niż zindywidualizowani Europejczycy. Może tak być. Trudno powiedzieć, jaka mogłaby być przyczyna, także ile jest stereotypów w naszym obrazie. Gdyby był prawdziwy, to trudno powiedzieć co w tym płynęłoby z kultury, w tym z religii, a co ze stopnia modernizacji. Z potocznego doświadczenia wiadomo, że są środowiska i kraje łatwiejsze i trudniejsze dla przybysza.

Poza „bagażem wniesionym” również mnóstwo innych czynników, niezależnych od niczyjej woli, ma wpływ na integrację i asymilację w wypadku migrantów. Pracujący w mieście i w przemyśle na ogół łatwiej wchodzi w miejscowe życie niż pracujący na wsi. Ludzie, mający dobrą opinię o kraju i jego mieszkańcach, łatwiej się z nim zbliżają niż pomiatający nim i nimi. Oczywiście łatwiej jest ludziom tego samego koloru skóry, bliskiego języka, czy bliskiej religii. Prof. Ponty ciekawie pokazuje na tym tle polską grupę na północy Francji. W zarysowanym przez nią obrazie Polacy marnie się integrują. Czuły wskaźnik – liczba małżeństw mieszanych – długo wskazuje na zachowywanie odrębności. Co zaskakuje i co jest ciekawe, lepiej integrowali się robotnicy rolni niż górnicy. Ci byli bardzo przywiązani do religii oraz zewnętrznych oznak związku z polskością. Latami wciąż jedli kartofle a nie bagietkę do obiadu, pili herbatę, a nie wino, w potrzebie rozgrzewali się wódką i bardzo powoli przyjmowali noszenie beretu (nawiasem: jeśli jedli kartofle, to gotowane czy frytki?). W wielu płaszczyznach widać trwające mniejsze zmodernizowanie przybyszów-Polaków niż Francuzów (poza „Westfalczykami”).

Autorka ciekawie obserwuje jak asymilacja jednak następowała niekoniecznie w wyniku uświadomionej woli i w sprawach mniej oczywistych dla ludzi niż jadłospis. Stwierdza na przykład, że wskaźniki demograficzne (rodzina, dzietność w rozlicznych aspektach zagadnienia, długość życia), wprawdzie mocno odmienne w środowiskach polskich, upodabniają się z czasem do wzorów miejscowych. Pod wpływem francuskiego otoczenia Polacy zmniejszają intensywność praktyk religijnych i przestają całować księdza w rękę.

\*

Udział w lokalnych konfliktach społecznych na ogół sprzyja wchodzeniu imigrantów w miejscowe społeczeństwo. Polacy mało angażują się, nie są solidarni w strajkach. Jest to zgodne z sygnalizowaną ich wsobnością – ale zaskakuje, gdyż często podjęcie walki sprzyjało integracji międzygrupowej robotników przemysłowych. Zaskakuje tym bardziej w wypadku górników. Także z tego powodu książka jest ciekawa dla badacza zainteresowanego społeczną historią tej społeczności zawodowej. Jest to

<sup>7</sup> Cyt. za: Paweł Kozłowski, *Szukanie sensu, czyli o naszej wielkiej zmianie*, PWN, Warszawa 1995, s. 94.

na ogół bardzo silna grupa (skupienie, bliskość ludzi i solidarność wymuszona przez warunki pracy, ciężkie narzędzia, materiały wybuchowe...). Rządy na ogół boją się górników. Władze PRL bardzo dbały o nich – bowiem z taką siłą musiały się liczyć, a skądinąd węgiel był bardzo potrzebny. Nawet codzienne zaopatrzenie, z którym zawsze były problemy w PRL, na Śląsku było lepsze. Przyłączenie się kopalń do fali strajków w 1980 r. fundamentalnie przemówiło władzom PRL do rozsądku. Zagrożenie interesom górników wywołuje silny opór. Przekonała się o tym Margaret Thatcher, walcząc z blisko rocznym strajkiem górniczym w 1984 r. Zwyciężyła go, zamknęła kopalnię, ale to było ciężkie doświadczenie. W Polsce kolejne rządy po 1989 r. obawiają się rozwiązywania nabrzmiałej sprawy węgla i, w sumie, górników. Już zdarzały się ich demonstracje w Warszawie; zostały zapamiętane. Gdy w czerwcu 2020 r. z powodu epidemii koronawirusa ogłoszono okresowe zamknięcie kilku kopalń, to jednocześnie ogłoszono, że ich górnicy w ramach postojowego będą nadal otrzymywać 100% zarobków, choć żadna inna, dotknięta grupa pracownicza nie otrzymywała takiej rekompensaty. W Rosji po upadku komunizmu zdarzyło się już wiele konfliktów z górnikaми. Przykładowo w jednym tylko, 1998 roku

- Kolej Transsyberyjska została zatrzymana przez górników Peczorskiego Zagłębia Węglowego, domagających się zaległych pensji;
- górnicy rosyjscy przez bardzo wiele dni trzy razy dziennie po 20 minut tłukli kaskami w bruk obok siedziby rządu;
- przed tymże gmachem rządu przedstawiciele kopalń z wszystkich zagłębi węglowych Rosji urządzili miasteczko namiotowe, z „ulicami” o nazwach „Radziecka”, „Październikowa” oraz „Majowa”, otoczone „słupami granicznymi” z napisem „ZSRR”<sup>8</sup>.

Daleko od nas górnicy z kopalń rud metali przechylili szalę zwycięstwa Narodowej Rewolucji Boliwijskiej w 1952 r. Ten kraj żył wówczas dzięki eksportowi cyny. Dało to siłę górnikom zgrupowanym w obozowiskach rozlokowanych przy kopalniach w Andach. W Boliwii doszło do sojuszu od dawna pragnącej swobód inteligencji oraz wyzyskiwanych indiańskich górników – podobnie jak blisko 30 lat później w polskiej „Solidarności”. Jak w „Solidarności” silnym motywem wszystkich uczestników rewolucji boliwijskiej był motyw emancypacji narodowej. Momentem przełomowym tamtejszego ruchu była chwila, gdy górnicy zaczęli schodzić z Płaskowyzu ku usytuowanemu w dolinie La Paz. Potem górnicy byli fundamentalnym partnerem rewolucyjnych rządów, a zagadnienie kopalń podstawowym wątkiem dalszego biegu rewolucji.

Podobnego nastawienia buntowniczego nie widać jednak wśród górników przedstawianych w analizie prof. Ponty, a już na pewno nie wśród tamtejszych Polaków. Częsty swego czasu w Polsce obraz siły wpływów komunistycznych wśród tych emigrantów nie jest prawdziwy. Pewna ich liczba wróciła po wojnie do Polski, na Ziemię Zachodnie, ale to jeszcze żaden dowód w sprawie sympatii komunistycznych. Pytanie



też ilu potem żałowało powrotu. To zagadnienie byłoby notabene ciekawym uzupełnieniem analizy.

Nie widać również w rozpatrywanej książce znanego w historii wnoszenia buntu przez imigrantów świeżej daty (czyli ludzi będących w gorszym położeniu, ale też mniej powiązanych z lokalną strukturą, nieraz przyjeżdżających z krajów o silnych ruchach społecznych, dających wyraz własnej postawie buntowniczej choćby przez udział w migracji). W małym stopniu pojawia się w książce sprawa dwukierunkowego wzmocnienia występujących konfliktów społecznych przez czynnik narodowy. W niejednym epizodzie w historii ludzie buntowali się dlatego, że traktowano ich niesprawiedliwie, a zarazem dlatego, że to obcy traktowali ich niesprawiedliwie. Nieraz dochodzili do wniosku, że są w gorszym położeniu dlatego, iż reprezentują specyficzną grupę narodową czy etniczną. Oczywiście taka, modelowa sytuacja mogła mieć wiele niuansów. W krańcowym wypadku można było uznać nawet swojego (pochodzącego z własnego narodu) właściciela przedsiębiorstwa za obcego z motywacją, że działa w interesie innego państwa (obcego kapitału). W sytuacjach analizowanych przez prof. Ponty Polacy byli oczywiście „naznaczeni” jako tacy, ale nie odnosi się wrażenia, by akurat to motywowało ich szczególnie do buntu. Raz pojawia się „czynnik polski” w strajku. Był to strajk w Leforest (Pas-de-Calais) w 1934 r. Polscy górnicy stanowili jego główną siłę. W związku z ówczesną sytuacją ekonomiczną wielu z nich – ale nie tylko spośród nich – zostało zwolnionych. Zaczęli reagować. Aresztowanie dwóch Polaków wyzwoliło ich dominujący udział w ruchu. Nie była to jednak sytuacja częsta.

W obrazie zarysowanym przez prof. Ponty nie pojawia się też przenoszenie przez migrantów agresji na inne, podobnie słabsze grupy pracowników – co zaobserwował Adam Walaszek w badaniu Polaków zatrudnionych w kopalniach antracytu w Luzerne County w USA<sup>9</sup>. W kontekście spraw postulatów społecznych i udziału we francuskim życiu politycznym zwraca natomiast uwagę pozytywny stosunek Polaków dla rządu Frontu Ludowego.

\*

Książka prof. Ponty przedstawia wiele przykładów długiego trwania pewnych zjawisk w historii. Widoczny w niej podział Europy na Wschód i Zachód jest, jak wiadomo, wielkim, trwającym zagadnieniem. Pytanie od kiedy możemy o nim mówić, ale że jest to zjawisko długiego trwania, to pewne. Przybysze – ciekawe, że właśnie nie poza „Westfalczykami” – reprezentują bardzo inny styl w różnych płaszczyznach życia od Francuzów. To ma wpływ na ich przyjęcie. Zjawisko jest znane z historii migracji. W USA źle przyjmowano migrantów z Irlandii, których na dodatek nikt nie rozumiał. Na drzwiach w potencjalnych miejscach pracy widzieli napisy *No Irish need apply*. Żydzi amerykańscy nie patrzyli dobrym okiem na przyjazdy „zacofanych”

<sup>9</sup> Adam Walaszek, *Życie na pograniczu i "życie pomiędzy". Polacy w zagłębiu antracytowym w Luzerne County, Pensylwania, z innymi grupami w tle (1753–1902)*, Wydawnictwo UJ, Kraków 2011.

pobratymców z Europy Wschodniej w początku XX w. Bardzo ciekawa jest obserwacja Adama Wałaszka, że w swoim czasie Włochów, Żydów lub Irlandczyków nie uznawano na badanym przezeń terenie za ludzi białej rasy. Nie tylko jako konkurencji, ale jako ludzie stojący na niższym poziomie ogólnym, zajmowali podrzędne miejsca pracy w kopalniach<sup>10</sup>.

Podział Europy tego wszystkiego jednak nie tłumaczy. Czy to w analizowanej sytuacji francuskiej, czy w znanych mi wypadkach latynoamerykańskich, migranci na przykład włoscy byli bardziej przedsiębiorczy, zakładali sklepy, niektórzy z nich banki, intensywniej uczestniczyli także w ewentualnych akcjach buntowniczych. Ostatecznie też uzyskiwali liczniejszą obecność grupy na wyższych szczeblach hierarchii społecznej. Polacy awansowali w hierarchii społecznej powoli, rzadko zmieniali zawód (nie tylko zresztą we Francji). Czy można powiedzieć, że włoscy wychodźcy z Veneto byli znacznie bardziej zmodernizowani niż polscy chłopi? A może byli? Czy wśród Włochów było więcej ludzi jakkolwiek wykształconych i przedstawicieli innych aktywności niż rolnicza, których tak niewielu stwierdza prof. Ponty wśród polskich migrantów?

Inny przykład zjawiska długiego trwania, jaki nasuwa się przy lekturze książki: zarówno w czasach w niej omawianych, jak dziś, Polska była krajem w dominującej mierze emigracyjnym, zaś Francja imigracyjnym. Dziś akurat do Francji nie jedzie z Polski wielu migrantów. Więcej ich popłynęło do Anglii czy Irlandii. W późniejszym okresie PRL było jednak we Francji mnóstwo ludzi z Polski, nie deklarujących się jako emigracja zarobkowa, podających zarówno władzom polskim, jak francuskim, najróżniejsze preteksty dla celów wizowych, ale oczywiście dorabiających sobie. Ciekawa jest także trwająca rola Kościoła w przyciąganiu polskiej emigracji do siebie, organizowaniu jej, nieraz wspomaganie. Autorka przedstawia tę rolę wśród robotników polskich we Francji w okresie międzywojennym. Sam pamiętam, że w okresie PRL dla masy młodych Polaków w Paryżu kościół Notre Dame de l'Assomption przy rue Saint Honoré stanowił – niezależnie od warstwy religijnej – miejsce spotkań, wymiany informacji, wieszania ogłoszeń dotyczących szukania bądź oferowania pracy... Pamiętam, jak liczni młodzi Polacy odwiedzali pewnego zakonnika mieszkającego indywidualnie chyba gdzieś w Quartier Latin. Jego adres kursował w środowisku. Wielu przyjezdnych telefonowało do niego z Gare du Nord. Słyszało z grubsza: „Przyjacielu, masz 5 dolarów, które pozwolono ci wymienić w NBP, zamień je w kantorze na dworcu i kup bilet metra. Masz butelkę wódki, bo wszyscy biorą na sprzedaż. Opyl ją w restauracji prawie naprzeciwko dworca. I przyjedź do mnie, porozmawiamy”. Potem zaś młodzi Polacy regularnie zachodzili do tego zakonnika, gdyż jego mieszkanie stało się punktem spotkań i giełdą informacji użytecznych dla emigrantów.

Ówczesna polska polityka wobec polskiej diaspory wówczas i dziś miały elementy podobne (traktowanie wychodźców jako przede wszystkim Polaków, nie zaś jako ludzi, którzy dla własnego dobra, a nawet dla dobra Polski, powinni się asymilować

na miejscu). W czasach badanych przez prof. Ponty i obecnie występował i występuje akcent, że Polska jest wielka i będzie wielka (Francja zresztą nieraz podobnie uderza w ten ton). W tej chwili trudno już mówić o mocarstwowym ambicjach Polski, ale duma, do której się nas wzywa, mówienie o polskiej sile, powtarzanie, że „warto być Polakiem”, że Polska miała wspaniałą historię i przeogromne zasługi dla Europy, a potem tak uderzyła w komunizm, że upadł mur berliński... nie sytuuje się daleko od mentalności pożądanej przez środowisko rządzące w międzywojniu.

Ciekawa jest sprawa trwałości bądź zmienności mentalności w odniesieniu do pewnych zagadnień – pytanie, w jakim stopniu wynikająca ze zmiany rzeczywistości. Teraz praktycznie nie ma już obaw przed komunistami, zwłaszcza przed ich wypuszczeniem do kraju z zagranicy. Jest natomiast obawa przed terrorystami muzułmańskimi, a nieraz „po prostu” przed muzułmanami. W Polsce przestano się już obawiać Ukraińców – mimo ich jeszcze niedawno strasznego stereotypu. Potrzeba rąk do pracy, więc przypomniano sobie bliskość kultur polskiej i ukraińskiej. Wpuszcza się Ukraińców, a na przyjęcie raptem kilku tysięcy muzułmanów, czego chciała UE i co by było gestem raczej symbolicznym, potwierdzającym solidarność europejską, nie chciano się zgodzić.

Zjawiskiem długiego trwania są częste w różnych krajach narzekania jakoby przybysze zabierali pracę, nawet jeśli zatrudniają się w zajęciach, których miejscowi unikają. Bardzo ciekawe są uwagi Prof. Ponty o realnym wpływie obecności robotników z Polski na gospodarkę francuską. Zaskoczył mnie, przyznając, jej wniosek, że napływ Polaków opóźnił o ćwierć wieku napływ Afrykanów na francuski rynek pracy. Tego aspektu, ważnego z punktu widzenia historii Francji, po prostu nie dostrzegłem. Istotny jest też drugi wniosek autorki – że Polacy (pomińmy znów „Westfalczyków”), nawet wykonując roboty najgorsze i najgorzej płatne, nie pomogli piąć się w górę Francuzom, ale na swój sposób przyczynili się do następującego wówczas wzrostu wydobywania węgla. Jedni i drudzy pozostawali wtedy w kopalniach.

Bardzo ciekawe są sygnalizowane przez prof. Ponty pojawiające się od 1935 r. obawy francuskie, że Polska trafi do obozu faszystowskiego. W mojej praktyce badawczej zetknąłem się z takimi obawami Brazylii – co zresztą jest ciekawe z uwagi na ówczesną ewolucję ustrojową tego kraju w kierunku autorytarnym i nurtujące tam sympatie do Niemiec. W wypadku Francji kwestia praktycznie nie implikowała polskich emigrantów, zwłaszcza robotników. W Brazylii – jak najbardziej, a to z uwagi na zwartość osadnictwa Polaków na Południu, wspomnianą już politykę rządu polskiego wobec nich, także wpływające na opinię brazylijską działania Hitlera wobec osadników niemieckich na tymże południu Brazylii. Fatalne wrażenie w Rio de Janeiro zrobiła agresja polska na Czechosłowację – i to tym bardziej że wojsko polskie zostało entuzjastycznie przyjęte przez tamtejszych Polaków. Wprawdzie z dzisiejszej perspektywy trudno sobie wyobrazić polskie wojsko lądujące na brzegu atlantyckim, ale można zrozumieć analogie rysujące się w głowach pracowników brazylijskiego MSZ.

\*

Dziś, po blisko 50 latach zmian zarówno mojej wiedzy i spojrzenia na świat, jak ewolucji świata, z zainteresowaniem przeczytałem ponownie książkę prof. Ponty. Nasunęła mi ona myśli inne niż kiedyś, ale jej nie odłożyłem jako nieaktualnej, bądź przestarzałej. To niemały komplement dla autorki i jej dzieła. Jego aktualność potwierdza, że warto zajmować się m.in. Polakami, których badała prof. Ponty, jeśli ktoś interesuje się szerszą problematyką migracji oraz zagadnieniem narodowym. Rozpatrywanie jednego i drugiego tylko w jej dzisiejszych przejawach tych zjawisk byłoby refleksją jedynie częściową.